MICHAŁ BAŁUCKI

ZA PÓŹNO



KSW

ZA PÓŹNO

MICHAŁ BAŁUCKI

ZA PÓŹNO

NOWELA

POZNAŃ — WARSZAWA
NAKŁAD KSIĘGARNI ŚW. WOJCIECHA

CZCIONKAMI DRUKARNI ŚW. WOJCIECHA

U państwa Alfredów zapowiedziany był wielki wieczór.

Okolica, pełna szlacheckich dworów, półpańskich pretensjonalnych pałacyków, obiecywała liczny zjazd; we dworze więc państwa Alfredów był ruch niemały, który jednak odbywał się z taktem i porządkiem, co przemawiało bardzo za zamożnością domu i dobrym jego zarządem.

Wieczór się zbliżał, oświecono rzęsiście salony i długie strugi złotego światła padły drżące w ciemny ogród na murawę i jaśminy.

Pani Alfredowa kończyła toaletę. Bogaty, ale mimo to skromny ubiór podnosił wdzięk posągowych jej kształtów, a ciężkie, ciemne ubranie na głowie, spięte łyskającemi brylantami, cudnie kłóciło się ze splotami jej jasnych włosów. Pani Alfredowa należała do tych kobiet, które nie tylko lubią, ale i umieją się ubrać; a była w chwili, kiedy ją poznajemy, w zenicie swej piękności, jak róże przed okwitem; miała lat 38. Kończąc

toaletę, zmrużyła wielkie, szafirowe oczy i przez długie, czarne rzęsy przedarło się ciekawe spojrzenie do zwierciadła; zwierciadło musiało jej powiedzieć że piękna, bo lekki uśmiech zadowolenia przeleciał po dumnem, białem czole. Wstała i zadzwoniła. Wszedł lokaj.

— Czy już wszystko gotowe?

— Już, jaśnie pani!

— Zapalić lampy u bramy; — lokaja odchodzącego wstrzymała zapytaniem:

— Gdzie pan?

Jeszcze zakłopotany lokaj nie wiedział co odpowiedzieć, gdy drugiemi drzwiami wszedł pan Alfred. Był smutny, blady i cierpki. Pani Alfredowej nie w smak był ten humor męża — spochmurniała.

— Odejdź! — rzekła do lokaja, potem odwróciła się do męża.

— Cóż ty nieubrany?

— I nie będę się wcale ubierał, nasz Adaś bardzo zasłabł.

— Kiedy?

— Wczoraj jeszcze podobno — rzekł Alfred i twarz miał bardziej cierpką.

Wy matki, którym miejsce przy kołysce dziecięcia klęcznikiem ciągłym się staje, któ-

re radością witacie każdą myśl budzącą się na twarzy dzieciny, każde słówko, co niewyraźnie drobne usta wyszczebioczą, — wy nie rozumiecie może, jak mogła matka nie wiedzieć, że jej dziecię słabe, i to jeszcze od wczoraj słabe.

A przecież salony znają takie matki bez potępienia ich, bo dobry ton trzyma zawsze za parawanem serce i dzieci.

Pani Alfredowa nie chciała być śmieszną, więc mamkom, piastunkom, a potem bonie oddawała pod zupełny zarząd dzieci, a sama czuwała nad niemi o tyle, że w chwilach wolnych od wizyt zaglądała do nich, lub je do swego gabineciku przyprowadzać kazała.

— Słabe biedactwo, a mnie nikt nie mówił o tem — rzekła pani Alfredowa.

— A mnie powiedziano ledwie wróciłem z jarmarku.

— To trzeba będzie posłać po doktora.

— Już posłałem — rzekł Alfred i zbliżył się do żony.

Wziął jej rękę i patrząc czule w oczy, prosił:

— Konstancjo! zrób to dla mnie i dla twego dziecka i odwołaj bal dzisiejszy.

— Alež śmiesznym jesteś mój kochany — i ruszyła białemi ramionami, — któż widział wracać gości z drogi?

Alfred wyjął zegarek.

— Ledwie za godzinę się zjadą, jeszcze czas wysłać posłańców z przeproszeniem, ja proszę!

— A ja proszę, żebyś się ubrał i o Adasia był spokojnym.

Zadzwoniła i odwracając się do garderobiany:

— Czy panna już ubrana? — spytała.

— Już prawie.

— Jak się ubierze, niech mi się sprezentuje, idź.

Alfredowi krew uderzyła na twarz. Ten spokój matki wśród choroby dziecka, ten chłód żony przed prośbą męża rozwściekliły go; ale choć wzruszenie burzyło mu piersi, głos ułożył z cichą, słodką prośbą:

— Konstancjo! mnie ten bal nie na rękę, — ja sam trochę niezdrów, głowa mnie boli.

— To przejdzie, mój kochany, każ sobie podać musujących proszków — rzekła Konstancja równie czule.

— Czy ciebie tak mało obchodzą nasze dzieci, że dla nich trudno ci się wyrzec zabawy?

— Ależ dla balu dziecko nie umrze, — słabość dziecinna przejdzie, a przytem doktór będzie przy niem.

— Ale matki nie będzie, — rzekł Alfred i pocałował jej rękę — Konstancjo, zrób to dla mnie.

Ręce mu drżały bardzo. Konstancja odwróciła się od niego i wzrok jej padł w zwierciadło, żal jej było toalety, w której była tak piękną i zwróciła się do męża z uśmiechem.

— Nie nudź mnie już, mój drogi! balu nie odłożymy, bo to śmieszne, więc idź się ubierać.

Alfred wybuchnął.

— Balu nie będzie, ja nie chcę, wszystko podrę na tobie!

Konstancja cofnęła się i spojrzała na męża imponująco, ale dumny wzrok nie uspokoił rozjątrzonego Alfreda, skoczył ku niej i chwycił ją za suknię.

— Cóż to — sceny? — i zadzwoniła silnie, gwałtownie.

Weszła służąca.

— Poprawisz mi ubranie na głowie — a do męża rzekła z wymuszonym uśmiechem: — mój kochany, zostaw nas na chwilę.

Alfred wyszedł wzruszony, gwałtowny.

Panna służąca spojrzała domyślnie, ale wnet oczy nakryła powiekami, spotkawszy się w lustrze z poważnym, badawczym wzrokiem pani Konstancji. Pani Konstancja była spokojna, jeno wargi trochę jej pobladły i drgały.

Drzwi się cicho otwarły i do gabinetu matki weszła nieśmiało Zosia w różowej sukience.

Zosia była już w tych latkach, kiedy dusza dziewczęcia poczyna się budzić, roić, tęsknić i kiedy ten ranek uczuć tak samo rumieni jasnością twarz dziewczęcia, jak zorza niebios, nim się na nich słońce rozpali. Główkę trzymała zawsze na dół pochyloną, jak kwiat gdy posmutnieje, a więc gdy nieśmiałe oczy nakryte długiemi rzęsami podniosła na kogo, to jak z pod chmurki patrzała; ale w tych oczach było tyle łagodnego uśmiechu, tyle dobrej duszy widać przez nie było, że smutek dziewczęcia, że chmurka na czole były najpiękniejszym jej urokiem.

Wchodziła nieśmiało do pokoju matki, bo ją mało znała, bo się jej bała.

Z pierwszych latek nie pamiętała pieszczot matki —potem oddano ją do klasztoru

w Wrocławiu. Cienie klasztornych murów, brak matczynego serca, pobyt wśród obcych zrobiły z figlarnej Zosieńki wcześnie myślącą, poważną panienkę; dusza niepodzielane uczucia zamknęła w sobie, ale były chwile, kiedy na spokojnej twarzyczce grało uczucia wiele, kiedy ciemne oczy Zosieńki skarżyły się łzami na osamotnienie serca. Nie dziw, nie dziw! Mężczyzna żyje głową i sercem, kobieta tylko sercem żyć może. Odejmij kobiecie serce, a będzie jak kamień na drodze, lub występną. Tylko wielkiemi cierpieniami złamane kobiety idą spokojnie na pogrzeb własnego serca, a Zosi dusza była jeszcze młoda, gorąca. Gdy matka miała przyjechać po nią, by ją wziąć z klasztoru, dziewczę ledwie nie oszalało z radości. całowała obrazek Matki Boskiej wiszący w jej celce nad łóżkiem, wychyliła główkę przez kraty i niespokojna łowiła uchem każdy gwar na dworze, czy w nim nie usłyszy turkotu powozu swej matki, a gdy zadzwoniono do furty klasztornej, dziewczę zemdlało z radości. Natłok uczuć tak zmęczył ją. Gdy przyszła do siebie, dowiedziała się, że to nie matka dzwoniła. Dopiero na drugi dzień rano matka przyszła po nią, spokojnie

pocałowała ją w czółko, zagadała do niej, pogłaskała i kazawszy się zebrać do drogi, sama poczęła rozmawiać z zakonnicami. Dziewczęcia usta ścięły się od tego chłodnego przywitania matki; ona w długich, wieczornych godzinach dumania inaczej wymarzyła sobie matkę. Z rozbolałą główką, ze ściśnionem sercem poszła pożegnać swą celkę. Przez całą drogę do domu i w domu potem matka była zawsze równa: dobra ale chłodna — to zabijało szczęście Zosieńki, to zrobiło ją jeszcze więcej trwożliwą i nieśmiałą wobec matki. Dla ojca była inną, bo i ojciec był inny dla niej.

Trochę za wiele rozgadałem się, a tu Zosia czeka we drzwiach. Czeka, nie śmiejąc zagadać do matki, zajętej jeszcze toaletą. Ruszyła się, zaszeleściła różową sukienką — matka się obejrzała.

— Jesteś?... chodźże bliżej! — obejrzała ją dokoła, potem zadowolona rzekła:

— Dobrze, tylko w towarzystwie bądź więcej pewną, więcej imponującą; skromne i nieśmiałe minki dobre w klasztorze; ale w salonie robią dziczka z panny.

To wymówiwszy znowu ją starannie oglądała. Zosia bowiem dziś pierwszy raz

wchodziła w świat, pani Konstancja miała już pewne plany względem Zosi, i widząc swoją córkę tak piękną, była dumną z tego powodu i pewną, że się jej plany powiodą.

— Niedługo goście się zjadą, — mówiła potem pani Konstancja — przyślę więc po ciebie.

Zosia przy odejściu zawahała się chwilkę, potem wróciła ku matce.

— Mamo.

— Ależ pomniesz mi suknię, — rzekła matka odsuwając ją od siebie, — czegóż chcesz?

Zosia zmieszała się tym ruchem matki.

— Mamo! — mówiła dalej — czy ja długo będę potrzebna na wieczorze?

Pani Konstancja spojrzała zdziwiona na córkę.

— A to dlaczego?

— A bo... bo Adaś słaby.

Pani Konstancja zagryzła wargi, bardziej niż słowa męża dotknęło ją to, że córka chce ją uczyć miłości macierzyńskiej. Im więcej czuła swój błąd, tem bardziej wstydziła się przyznać do niego dumna kobieta.

— Przy Adasiu będzie panna służąca, a ty będziesz na wieczorze. Teraz idź do

salonu, każ oleandry poustawiać koło okien, ja idę do Adama na chwilkę, niedługo wrócę.

W niebieskim pokoiku biała lampa oświecała łóżeczko dziecięcia. Dziecko rzucało się w niespokojnym śnie po łóżeczku; — piastunka drzemała. Weszła pani Konstancja szumiąc suknią, nachyliła się nad łóżeczkiem. Gorączkowy rumieniec dzieciny, niespokojny sen, spieczone usta zaniepokoiły panią Konstancję; te nieme usta dzieciny czyniły jej najcięższy wyrzut, wymawiały najboleśniejszą skargę. Uczuła, że jest złą matką.

— Czy doktór nie przyjechał jeszcze? — spytała piastunki.

— Nie, jaśnie pani!

Matka zapomniała o toalecie i siadła przy dziecku.

Wtem na dziedzińcu zaturkotały powozy, pani Konstancja opamiętała się.

— Zawołaj panny służącej i czuwajcie — rzekła i poszła witać gości.

A pan Alfred? — Pan Alfred chodził długo rozgorączkowany po ogrodzie, aż chłód wieczoru letniego, spokój natury uspokoiły go. Dawniej nie w cienistych ulicach ogrodu szukał pan Alfred spokoju, pocieszenia po burzach małżeńskich: w szalonych grach

i w winie chciał zabić, chciał utopić pamięć tych ideałów, jakie sobie wymarzył w pożyciu małżeńskiem. Pan Alfred bowiem, ukończywszy szkoły, wszedł w życie z duszą nieskalaną wybrykami młodości, z zieloną wiarą w ludzi, jednem słowem, był człowiekiem serca. Dla serca szukał serca i mówił, że się nie ożeni, nie znalazłszy wymarzonej. Los zadrwił z młodzieńczych marzonek; szukając piękności duszy, pokochał piękność zewnętrzną, i nie mógł wierzyć, żeby tylu wdziękom Bóg odmówił pięknej duszy. Niestety! rok pożycia małżeńskiego przekonał go, że jego żona jest piękną jak kamelja, ale i bez duszy jak kamelja. Pani Konstancja nie była złą kobietą, owszem, okolica nazywała ją wzorową, bo całym grzechem pani Konstancji było, że była w dobrym tonie.

Ten dobry ton zabił szczęście męża. Pani Konstancja nie była czułą, strzegła się wzruszeń, nie wierzyła romansom i lubiła takt w postępowaniu. Pojmiecie więc jak człowiek z gorącą duszą, spragnioną miłości, musiał cierpieć wobec dobrego tonu tej kobiety; jak go męczyć musiało to jej życie, któremu nic zarzucić nie mógł, a które przecież było występnem w jego oczach.

Gdyby w powieści wolno było być poetycznym, to porównałbym panią Konstancję do pięknej skały porosłej kwiatami, a jej małżonka do ruchliwych fal wody, co z ustawicznym szelestem tłuką się o skałę, chcąc wymodlić u niej wstęp do jej wnętrza. Z tak nienaturalnego zetknięcia się dwóch charakterów wynikały częste burze małżeńskie, w których spokój i duma pani Konstancji odnosiły zawsze zwycięstwo. Pan Alfred odchodził zwykle upokorzony, zawstydzony; nazywał się mazgajem, wymagającym, i znowu silił się na spokój. Ale gdy ani spokój ani prośby, ani łzy nawet (bo i płakał nawet pan Alfred) nie rozbudziły śpiącego serca kobiety, pan Alfred plunął na wszystko gorzką śliną ironji i... często począł wyjeżdżać do miasta, gdzie karty i wino dawały mu chwilowe zapomnienie. A jednak były chwile, w których próbował jeszcze złamać ten chłodny posąg kobiety, by się po kobiecemu odezwał do niego, by go wyrwał z hulackiego szału; ale chwile takie były coraz rzadsze i pan Alfred zrobił się hulaką. Dopiero powrót córki do domu opamiętał go. Serce córki było kotwicą, której się chwycił nieszczęśliwy małżonek. Nieraz gdy wracał

z miasta z szumem wina w głowie, z próżną kieszenią — a córka czekała go na ganku wśród bluszczów, wtedy pan Alfred wstydził się spojrzeć w oczy temu dziewczęciu czystemu, wstydził się, bo czuł, że przegraną w karty kradł posag swemu dziecku. Ten wstyd, refleksja, długie serdeczne rozmowy z córką wróciły pana Alfreda domowym zatrudnieniom. Z córką czuł się mniej nieszczęśliwym.

Pan Alfred więc siedział uspokojony, gdy mu dano znać, że doktór przyjechał. Zerwał się i poszedł.

Tymczasem przed dwór zajeżdżały pojazdy, bryczki, służba stała na ganku; pani Konstancja, uśmiechnięta, witała gości w salonie. Po zwykłych przywitaniach, zapytaniach, ukłonach, komplementach zawiązała się w różnych stronach salonu żywa rozmowa. Nieśmiałe szepty panien, wysokie wykrzykniki pań, męskie barytony i basy zlały się w jedną harmonję. Harmonja piękna dla ucha, ale beztreściwa dla serca, więc bez żalu ją opuszczamy. Niedługo i fortepian się odezwał, i lekka kawalerja żywo poskoczyła do dam. Giętkie, namiętne tony walca roz-

igrały się jak wzburzone wody, i po nich szalonym wirem kołowali tancerznicy.

Na kanapie jedna ze starszych dam lornetowała zapalczywie tańczących. Niestety! ona należała już do osób, których nie proszono do walca, lubo jej na chęciach nie zbywało. Przy tej pani siedział weteran-poeta, z lisim wzrokiem, siwiejącemi faworytami.

— Czy uważa pani — zagadnął lornetującą damę — w jakich kłopotach pani Konstancja? Męża niema i nikt mężczyzn nie przyjmuje.

— Słyszałam, że chory.

— Różne są choroby, pani dobrodziejko, — rzekł uśmiechając się domyślnie.

— Ależ okrutny jesteś, panie Śmietanka, z twemi domysłami, pani Konstancja jest wzorem żon.

— A pani nią nie jesteś?

Pani lornetującej rozczulił się okazały podbródek i ze słodkim wyrzutem spojrzała na poetę. Mąż jej grał w tej chwili w karty.

— Czy pani uważasz — zagadnęła ją w tej chwili jedna z dam, kąsająca bigotka — czy uważasz pani, jak hrabia L. ustawicznie ściga Zosię, ustawicznie z nią tańczy... jak to brzydko, jak to bez taktu!...

Miała w istocie ta pani powód narzekać na zły takt hrabiego, bo była posiadaczką czterech córek, którym czas zamążpójścia mijał.

— A prawda, prawda, — rzekła dama, lornetując Zosię rozrumienioną, — pani Konstancja nie bez myśli go zaprosiła; a! niech Pan Bóg każdemu pomoże w jego zamiarach...

W istocie, hrabia L. młody i wcale niebrzydki młodzieniec, był nadzwyczaj Zosią zajęty z tej bardzo prostej przyczyny, że Zosia była najpiękniejsza, najmłodsza, a spuszczone jej oczka nie polowały tak skwapliwie na hrabiowski tytuł, jak oczy innych panien. Zosia biedactwo nieśmiała, pomięszana, nużyła się pod pewnym wzrokiem hrabiego i śmiałemi jego słowami, czuła się skrępowaną tym wzrokiem i czekała chwili, by uciec przed nim. Jego bliskość trwożyła ją, niepokoiła.

— Pani się musisz nudzić na wsi bardzo? — zagadnął hrabia.

— Nudzić? — i podniosła oczy, ale wnet spuściła je przed wzrokiem hrabiego,

— jak można nudzić się na wsi, ja nigdy o mieście nie myślę. Tu tak piękne wszystko.

Hrabia się uśmiechnął:

— Widać, że pani jeszcze nie wyszła ze stadjum poetycznego, i ja dawniej lubiłem wieś, konie, polowanie; ale teraz przekładam pobyt w mieście, tylko nie w ubożuchnym Krakowie.

Zosię oburzyła ta mowa i tylko większym rumieńcem odpowiedziała na nią.

— Pani odwiedzała Paryż?

— O nie panie, ja byłam tylko w Wrocławiu, ale mi tam bardzo tęskno było za domem.

— Nie dziwię się, bo i cóż w Wrocławiu widzieć można? W Paryżu inna rzecz, co za restauracje, jakie obiady! Jadałem obiady po 50 franków i jeszcze głodny odchodziłem. U nas długo czekać trzeba będzie, zanim naród na tej stopie stanie. Albo — mówił hrabia zapalając się...

— Mogę prosić do walca? — zapytał młody, świeżutki kawaler.

Zosia skinęła... i niedługo znikli w wirze tańczących, a hrabia został z niedokończoną rozmową. Uważna pani Konstancja nie zostawiła go długo samego.

— Pan nie tańczysz? — spytała siadając obok niego.

— Owszem, pani, ale przekładam poważne rozmowy.

Pan hrabia skłamał troszeczkę; bo nie brak chęci, tylko nogi nie dopisywały mu już do tańca.

— Ale panna Zofja tańczy jak anioł, na honor jak anioł.

— Jakże ją pan znalazłeś? — zapytała w lekkim nawiasie pani Konstancja. — Żałuję mocno, żem ją oddała na wychowanie do klasztoru. Nabywa przez to panienka manier, które mogą być miłe Panu Bogu, ale ludziom się nie podobają.

— O! w tym względzie daruj pani! ja stanę w obronie panny Zofji. Ta nieśmiałość, to największy powab, najpiękniejszy urok.

Pani Konstancja była zadowolona.

— Jak widzę, pan masz bardzo poetyczne gusta.

— O! ja lubię poezję, ale pisaną na kobiecych twarzach i wdziękach — rzekł wpatrując się w białą szyję pani Konstancji. — Panna Zofja jest w istocie urocza, — a ciszej dodał — do pani podobna.

Słowa te załechtały miłość własną kobiety, ale obraziły jej dumę. Udała grzeczny uśmiech i wstała.

— Uważa pani, — zagadnęła znowu mama czterech córek panią lornetującą, — jak i mama i córka atakują hrabiego. Biedny! żal mi go!

— To wygląda na intrygę, ale Zosia zanadto naiwną mi się wydaje tutaj. Ona taka jeszcze jak fiołek, patrz pan, panie Śmietanka, jak przytuliła się do swego dansera, co tu niewinności! Mógłbyś pan o tem poezję napisać.

— Nie popłacają teraz takie poezje, pani dobrodziejko.

— Ale gdzież hrabia? — zapytała znowu mama, — czemuż nie tańczy? — i wzrok jej skierował się na trzy z pomiędzy czterech córek swoich, których nikt nie brał do tańca. Wszystko troje oczami szukali pana hrabiego.

— A tam pod oknem siedzi — rzekł poeta — i ziewa niemiłosiernie.

Walc się skończył; światła, suknie, myśli, uczucia rozigrane odpoczęły. Panie wachlarzami chłodziły gorące twarze, w oczach ich widać było jakieś omdlałe, ponętne znuże-

nie. Kwiaty na nich powiędły. Któż kiedy nie czuł czaru wieczorów takich, kiedy muzyka, taniec rozigra myśli, rozbudzi fantazję? W takich chwilach z kolorów sukni, człowiek tęczowe obrazy składa, kobiety zdają mu się niebiankami, światła nawet, zdają się być rozmarzone, rozkochane.

Zosia pierwszy raz była na liczniejszem zebraniu, pierwszy raz z takim szałem puściła się w taniec. W głowie jej szumiało, zakręcił się w oczach świat cały, w piersiach poczuła jakieś wzruszenie, rozmarzenie, którego się przelękła i niepostrzeżona wybiegła z salonu aby odpocząć i braciszka odwiedzić.

W pokoiku, gdzie stała kołyska Adasia, było cicho. Chłopczyna zażywszszy lekarstwo usnął mocno. Pan Alfred z doktorem siedzieli pod oknem i stłumionym głosem prowadzili rozmowę. Pan Alfred był weselszy, spokojniejszy, bo doktór zapewnił go, że choroba Adasia nie jest zagrażająca.

— Ale pan coś niezdrów się wydaje? — rzekł doktór, patrząc z zajęciem w bladą twarz pana Alfreda.

Pan Alfred uśmiechnął się gorzko.

— To nie dzisiejsza choroba i niema na nią lekarstw w medycynie.

— Ale mogą być inne lekarstwa, rady, pociechy.

— To nudne, — rzekł pan Alfred i rozmowa urwała się na chwilę. W pokoju była cisza, wśród której słychać było lekki oddech dzieciny. Pan Alfred ocknął się wreszcie z zamyślenia i obrócił się do doktora z nagłem zapytaniem:

— Doktorze! czy wy, anatomizując człowieka, odgadliście przeznaczenie serca?

— Czy pan mówi o tem sercu, co jest zbiorem krwi, czy o tem, co uczucia w sobie mieści?

— O tem drugiem, — jakie jego przeznaczenie?

— Kochać.

— A jeżeli pogardzą tą miłością, jeżeli na gorące serca dadzą ludzie zimne okłady obojętności?

— To i tak kochać trzeba, — rzekł doktór i popatrzył głęboko w oczy pana Alfreda — czytał w nich.

Roześmiał się pan Alfred.

— Nie kochałeś się widać jeszcze doktorze, i nie wiesz co zabija serce?

— Bo ja nie wierzę w śmierć serca, jeno w chwilowe jego odrętwienie. Kto mówi, że

świat zlodowacił mu serce, ten nigdy nie miał gorącego.

— Jakto, więc nie wierzysz, doktorze, że może być chwila, człowiek, co zabijają serce!

— I nigdy nie uwierzę. W sercu jest tyle uczuć, że wśród śmierci jednych, tysiąc nowych żyje, — proces tu ten sam, co w naturze.

— Poetycznym jesteś, jak widzę, mój doktorze, ale niepraktycznym. A wszak znałem ludzi, którzy zawiedzeni miłością kobiet, już nigdy nie odżyli miłością.

— Pozwól pan sobie powiedzieć, że to byli samolubi. Miłość dla kobiety nie jest jedynem i ostatniem uczuciem człowieka, bo wtedy Bóg tylko na tę krótką chwilę jego wiosny zawiesiłby mu serce w piersiach.

— Więc można coś więcej kochać prócz kobiety?

— Rodzinę.

— A jeżeli i w rodzinie chłodno?

— Czy pan nie poczułeś nigdy w sobie tego, że człowiek może pokochać młodzieńczą miłością jaką myśl i poświęcić się cały tej myśli i żyć w niej, z nią i dla niej?

— Nie rozumiem pana.

— Wytłumaczę się jaśniej — rzekł doktór, obrócił się ku oknu i pokazał ręką na wioskę, co milcząca, osnuta tajemniczemi cieniami nocy spała w dole. — Patrz pan na te chaty wieśniacze. Ile tam teraz chorych, ile głodnych leży? a i najlepszych stan o wieleż lepszy od stanu zwierząt? Czy myślisz pan, że człowiek, coby ukochał ten lud, zajął się jego losem, wspomagał i umoralniał zarazem — czy tego człowieka serce mogłoby spać?

Pan Alfred zamyślił się.

— Nie zastanawiałem się rzeczywiście nad tem.

— Nie dziw! pan przyzwyczaiłeś się do tego widoku, jak więzień do ciemności.

Chciał pan Alfred coś odpowiedzieć, gdy wtem drzwi się otworzyły i wsunęła się przez nie biała, aksamitna twarzyczka Zosi.

— Czy można? — spytała cicho i weszła. Oczami spotkała się z doktorem i oboje mocno pokraśnieli.

Nie chcę stąd domysłów robić; tak się często dzieje.

— Pan doktór W., moja córka — rzekł Alfred prezentując.

Zakłopotana Zosieńka ukłoniła się z lekkim, miłym uśmiechem i pobiegła do kołyski Adasia. Doktór wodził za nią oczyma. Widok tego niewinnego, pięknego, dobrego dziewczęcia oczarował go tak, że zapomniał mówić.

— Czy Adaś lepiej się ma ojcaszku? — spytała.

— Niech się pani o niego nie obawia, za parę dni będzie zdrów zupełnie.

Zosia podziękowała mu za tę nowinę ślicznym wzrokiem, i nie wiem, czy dla tej nowiny, czy dla pięknej męskiej twarzy pana doktora, uczuła ku niemu jakiś dziwny pociąg.

— Pójdę donieść mamie o tem, co pan powiedział, ucieszy się.

Pan Alfred kiwnął głową.

— Zosiu, czy dużo gości w salonie?

— Bardzo wiele, a ojcaszek nie przyjdzie na salę?

— Nie, Zosieczko! mnie trzeba wypocząć.

— A może pan doktór na chwilę pozwoli? — dodała ośmielona już do niego Zosia, twarz bowiem doktora budziła dziwne

zaufanie. Doktór z serdecznością podziękował Zosi.

— Dziękuję pani ślicznie; ale tam wszyscy zdrowi, a doktór tylko wśród chorych żyje.

Zosia pierwszy raz odczuła cały trud doktorskiego stanu.

— To przykry stan.

— Ale piękny — dodał doktór. Zosia wybiegła. Doktór był roztargniony, pan Alfred zamyślony.

— Panie doktorze! rzuciłeś mi myśli w głowę na całą noc, spać nie będę mógł. Ale powiedz mi, mój doktorze, skąd ty młody wyrobiłeś w sobie tak piękne myśli o przeznaczeniu życia, skąd tak głęboko dojrzałeś to, czego ja nigdy przedtem nie widziałem.

— Bardzo jasna przyczyna. Pan od dzieciństwa byłeś otoczony wszystkiemi potrzebami życia; widok nędzy, chorób, jak panorama przesuwały się koło oczu nie drażniąc serca, a ja powstałem z ludu, znam wszystkie bolesne tajemnice jego żywota i dlatego je czuję.

— I cóż robić? — pytał pan Alfred niby sam siebie.

— Być ich ojcem, — dorzucił doktór i urwał rozmowę. Milczeli długo.

Pan Alfred dumał o nowej myśli, co go rwała do siebie; przed doktorem stał już zaklęty obraz Zosi, uśmiechniętej ze spuszczoną główką. Może za prędko zajął się Zosią — cóż robić? Uczucie jest iskra, chwilki potrzeba, by je zapalić.

A Zosia? Zosia, po balu, kładąc się nad ranem do łóżeczka, myślała ciągle, jak trudne, a piękne jest życie lekarza.

Od owego balu pani Konstancja nie mogła poznać męża. On taki dawniej słodki dla niej, tak za nią chodzący, czasem gwałtowny, teraz był dziwnie obojętnym dla niej, spokojnym, a przecież grzecznym. Przygasłe jego oczy ożyły jakąś myślą, często wychodził na wieś i wracał zawsze z pogodnem czołem. Czasem córka towarzyszyła mu w jego wycieczkach. Pani Konstancja czuła się opuszczoną, samą — to ją bolało. Czasem w chwilach takich, kiedy ją córka i mąż zostawiali w pustych pokojach, pani Konstancja znudzona ciszą, spokojem, szła do kołyski Adasia szukać zajęcia; ale dziecię, nieprzyzwyczajone do pieszczot matki

i do jej twarzy, odwracało się z płaczem od niej do piastunki.

Upokorzona, niezadowolona, wracała do swego pokoju czekając wizyt, lub wyjeżdżała sama w sąsiedztwo.

Pan Alfred cały był zajęty szczęściem wieśniaków; myśl rzucona przez doktora była kotwicą, której się uchwycił człowiek, co potrzebował coś kochać, by nie umrzeć z suchot serca. Kiedy pierwszy raz wszedł do wiejskiej chaty, zdziwił się, że dotąd był tak ślepy na nieszczęście i niedostatek ludu. Dawniej zdawało mu się, że tak być powinno; teraz czuł, że zaniedbanie ludu było największym jego grzechem, i czuł się samolubem, że chciał miłości od ludzi, a sam im jej nie dawał. Nie będę tu szeroko się rozwodził nad wszystkiemi środkami, jakiemi dążył pan Alfred do podniesienia materjalnego bytu włościan, do ich umoralnienia, oświecenia. Każdy z nas zna lud i wie, jak wiele mu potrzeba; jak ciężko pracować trzeba, by się przedrzeć do jego serca przez twardą łupinę niedowierzania, którą się zakrywa przeciw możniejszym. Pan Alfred, im większy znajdował opór, tem większą znajdował

w sobie energię, którą słowa doktora od czasu do czasu podnosiły i ożywiały.

Zosia czuła niewypowiedzianą wdzięczność dla doktora, że jej ojca jedną myślą do tak pięknego obudził życia. Już teraz nie bała się tych chwil, w których ojciec zamyślał się i posępniał tak, że go jej najczulsze pieszczoty rozpogodzić nie mogły. Pan Alfred był spokojny, wesoły; żony unikał, przy obiedzie lub herbacie był dla niej uprzejmy, ale chłodny. A Zosieńka w tem trzymała z ojcem. Ona bała się matki. Więc chętnie wychodziła z ojcem na wieś, roznosząc żywność, lekarstwa, odzież dla dzieci; to kazała do siebie przychodzić dziewczętom i uczyła je robót i czytania.

Tak minęła zima.

Nastała wiosna, piękna, pogodna. Zazieleniały pola i sady, kwiatów i woni mieli ludzie dużo; ale przednówek był ciężki i głód w wiosce. Dwór pana Alfreda stał się ucieczką biednych. On i córka byli niezmordowani.

Jednego dnia po obiedzie, pan Alfred wstał i rzekł do Zosi:

— Weź kapelusz, pójdziemy na wieś.

— Znowu na wieś? — odezwała się pani Konstancja — jabym chciała żeby Zosia została przy mnie; hrabia L. ma przyjechać.

Zosia przelękła się tego nazwiska, z niemą prośbą spojrzała na ojca. Pan Alfred nie uważał tego.

— Jak chcesz, — rzekł obojętnie — to ja sam pójdę, niedługo wrócę. Adieu!

Po odejściu pana Alfreda, pani Konstancja kazała córce usiąść koło siebie. Zosia usiadła zdaleka od matki; matka spojrzała jej w oczy. Zosia miała oczy pełne łez.

— Usiądź bliżej; cóż ty niekontenta, że ze mną zostajesz?

— Ale nie, mamo — i zmięszało się dziewczę.

To pomięszanie zabolało matkę; kobieta światowa uczuwała teraz próżnię w sobie; jej potrzeba było serc, któreby lgnęły do niej, od czasu, jak Alfred stał się dla niej tak zimny; nie była to jeszcze miłość, ale chęć rządzenia sercami, chwilowe zachcenie miłości własnej.

Zosia usiadła przy matce. Pani Konstancja wzięła jej rękę, chcąc ją ośmielić. Zosi rączka drżała w dłoniach matki; pani Konstancja zmarszczyła brwi, zagryzła war-

gi, puściła chłodno rękę córki i obojętnie rzekła:

— Weź robotę i siądź przy oknie; a dla pana L. proszę być grzeczną.

Niedługo zaturkotał na mostku lekki koczyk hrabiego, Zosieńka ścierpła. Koczyk szybko nawrócił przed ganek, hrabia zgrabnie wyskoczył z niego i za kilka chwil był już w salonie.

Wymuskany, wyświeżony, jakby z mód wycięty, z wyuczoną elegancją skłonił się obu paniom. Pani Konstancja przywitała go z grzeczną powagą, Zosia z wymuszonym uśmiechem i trwożliwem spojrzeniem.

— A gdzie pan Alfred?

— Mój mąż przy gospodarstwie; ale niezadługo nadejdzie. Proszę siadać.

I zaczęła się rozmowa o wszystkiem i o niczem. Pan hrabia był wymowny, wiele widział, wiele przeżył, więc mu treści nie brakło w rozmowie. Paryż, Londyn, postęp, cywilizacja jako sztuczne ognie strzelały z ust hrabiego; potem rozpowiadał o swoich nudach na wsi, użalał się nad paniami i t. d. Pani Konstancja była zachwycona jego rozmową. Zosia, zagadywana przez hrabiego, odpowiadała krótko, nieśmiało; matka pa-

trzyła na nią znacząco, rozkazująco. Potem zaczęto mówić o poezji. Pan hrabia był wielkim jej zwolennikiem i protektorem nawet.

— Te wiersze Niemce... a... nie, zdaje mi się Mickiewicza, — to bardzo ładne wiersze; ale przyznają mi panie, że prędko znudzą; a francuski romans to się czyta tak gładko, tak bez znużenia. A panny Zofii jakie w tem zdanie?

— Ja nie mogę mieć jeszcze żadnego. Czytam, co rodzice uważają za stosowne, ale przecież myślę, że w jednym wierszu Adama więcej treści, niż w tomie francuskiego romansu.

Pani Konstancja roześmiała się:

— Daruj jej pan — to dziecko jeszcze, pod tym względem nie ma zdania.

Pan hrabia nie próżnował. Zbliżył się do Zosi i... nachylając się nad jej jasną główką, pytał znowu:

— Jakąż śliczną robótką pani zajęta? czy wolno spytać dla kogo?

— To dla papy na imieniny.

W tej chwili na ganku przed oknami stanęła jakaś biedna, wynędzniała kobieta. Brudne szmaty okrywały jej zżółkłą twarz i małą dziecinę.

Zosia dojrzała ją i zerwała się:

— Mamo! biedna! wybiegnę do niej.

— Nie potrzeba; lokaj wyniesie jej jałmużnę.

Zadzwoniła — wszedł lokaj.

— Daj tej żebraczce jałmużnę, a zakaż jej na drugi raz przychodzić na ganek.

Zosia zasmuciła się, okiem pełnem litości patrzała na żebraczkę, którą lokaj wyganiał z ganku.

— A już to pani dobrodziejka ma słuszność, — rzekł hrabia — że nie trzeba ośmielać tego proletarjatu, bo potem się i ognać trudno. U mnie chłop nie śmie się zbliżyć do pałacu, boby mu się i do pokoju zachciało.

— A jakże pan z nimi rozmawia? — spytała Zosia.

— Ja nigdy z chłopem nie rozmawiam.

Do salonu wszedł pan Alfred zmęczony i chustką ocierał pot z czoła.

— A... pan hrabia.

— Panu dobrodziejowi moje uszanowanie, — rzekł hrabia ściskając ręce Alfreda.

— A! gorący dzień.

— Pan dobrodziej zapewne od gospodarstwa?

— O! nie panie, byłem na wsi. Niedostatek po chatach okropny, aż litość bierze;

a do tego lud tak twardy w swej nędzy, że nie przyjdzie do dworu, aż już mu głód dobrze dokuczy. Samemu trzeba chodzić z pomocą, a szczególniej z lekarską, do której się nieradzi uciekają.

Pan hrabia zrobił twarz poważną.

— A tak, tak, ten lud nie umie ocenić naszego poświęcenia, naszego trudu.

— Poświęcenia — zagadnął pan Alfred — ja myślę, że to powinność nasza.

Hrabia się zmięszał, ale wnet przyszedł do siebie:

— Tak, powinność, którą jednak można podnieść do poświęceń.

I jeszcze dużo w tej mierze mówił gładko pan hrabia, czem sobie zjednał zupełnie pana Alfreda; a Zosi biedaczce w głowie się mięszało, jak mógł ten człowiek, co nigdy z chłopem nie rozmawiał, — mówić o poświęceniu się dla niego. Młode dziewczę nie mogło zrozumieć, że można być łotrem... a mówić piękne mowy i toasty.

Potem pan hrabia jeszcze pograł na fortepianie, bo i to umiał, nagadał panu Alfredowi dosyć pięknych zdań, paniom kilka komplementów przy herbacie, pokręcił się po salonie i wyjechał.

Zosia odetchnęła. Pan Alfred wziął gazetę i zabierał się do odejścia.

— Proszę cię, zostań, mam z tobą o ważniejszej rzeczy pogadać, — rzekła pani Alfredowa, a do Zosi obracając się rzekła: idź już spać — i pocałowała ją w czoło.

Pan Alfred także pożegnał Zosię, położył gazetę, usiadł i czekał z flegmą na rozmowę. Pani Konstancja zaczęła:

— Miałam już dawniej z tobą o tem mówić; ale od niejakiego czasu nie miałam szczęścia oglądania cię dłużej w domu, odkąd cię ta wieś tak zajmuje.

— Nie mówmy o tem, dawniej ja mógłbym się był skarżyć — do rzeczy, moja pani!

Pani Konstancja pobladła wśród tych obojętnych słów, czoło jej kurczowo boleśnie się zgięło; prędko pokonała wzruszenie, zmrużyła dumnie oczy i mówiła spokojnie, bawiąc się frendzlą aksamitnej salopy:

— Zosia jest już w tych latach, że jej potrzeba iść zamąż...

— Ależ ona dzieckiem jest jeszcze...

— Dzieckiem nie jest, ma lat siedmnaście; ale nie tyle wiek zmusza mnie do wydania jej zamąż, ile pana nietaktowne ze mną postępowanie, które dziecko gorszyć może...

Pan Alfred znowu skrzywił się niechętnie:

— Nie mówmy o takcie, może wyszedłem z niego, nie jestem muzykalny. Dawniej może zanadto w takt skakałem; ale to nie była moja muzyka. Co się tyczy Zosi, zgadzam się; ale trzeba przecież pierwej, żeby się o nią ktoś starał?

— Wszak pan hrabia L. — nie bez celu u nas bywa. Jego ciotka mówiła mi, że Zosią od jesieni zajęty i że ma stałe zamiary.

Pan Alfred pomyślał trochę.

— No, to byłoby niezłe i jabym nic nie miał przeciw temu.

— Ale trzeba, abyśmy z Zosią wyjechały do wód, na zimę do miasta, aby nabrała trochę manier, których jej zbywa.

— Tegobym sobie wcale nie życzył. Przekonałem się dosyć dotkliwie, że manjery do małżeńskiego pożycia najmniej są potrzebne.

— Ależ przeciwnie, to jest przyjęte w świecie — rzekła z siłą i imponującą powagą pani Konstancja.

— Wierzę bardzo; ale ja nie chcę dla świata dziecko wychować, jeno dla domo-

wego życia. Kto kobietę pcha w świat, ten z niej robi potwora.

— A jednak pan musisz się zgodzić na to, bo ja chcę, — rzekła pani Konstancja i wstała.

— Wątpię, — rzekł z flegmą, lubo już trochę zapalając się pan Alfred — pieniędzy nie dam.

— Już je wzięłam od bankiera — mówiła dalej pani Konstancja, zyskująca tem więcej na pewności, im bardziej na twarzy męża postrzegała wzruszenia.

— Zosi nie dam — rzekł Alfred z siłą.

— Śmiesznym pan jesteś. Matce nie wolno mieć prawa do swego dziecięcia?

— Matce? różne są matki, i jeżeli pani nie chcesz stracić ostatniej odrobinki szacunku swego dziecka, radzę ustąpić mi z drogi, bo scenę zrobię, a po mojej woli stać się musi. Dobranoc.

Odszedł. Pani Konstancja siadła, — tak ją ta walka słów zmęczyła. Wstyd, upokorzenie, wyrzuty, boleść, wszystko to chaotycznie kłębiło, burzyło się w piersi kobiety, i serce kobiece drgnęło w niej znowu i rozbolałe wycisnęło na oczy dwie łzy duże, które przygniotła rękami. I nikt tych łez

i tego bólu nie widział, jeno blada lampa, co patrzyła na pokurczoną boleśnie twarz kobiety-posągu.

Od tego czasu pan hrabia był częstym gościem u państwa Alfredów. Z panią Konstancją rozmawiał o zagranicy, z panem Alfredem o polepszeniu stanu kmiotków, o postępie ludzkości; ale najwięcej rozmawiał z Zosią, lub raczej najwięcej do niej mówił, bo Zosia krótkiemi odpowiedziami rwała rozmowę jak zmotane nici, lub rzucała pytania, które mięszały wytrawnego salonowca. Zosia bowiem, choć nieśmiała, choć aniołek, miała maleńkie różki dowcipu, któremi kłóła natrętnego konkurenta. A nawet myślę, że nie tylko Zosia ma takie różki...

A tymczasem po okolicy już głośno gadano o zamiarach hrabiego względem Zosi. Ciekawsze panie już kilka wizyt oddały pani Konstancji, by się szczegółów dowiedzieć; wszyscy domyślali się, że hrabia już po oświadczeniu, że ślub będzie w czerwcu, i dlatego ani hrabia, ani pani Alfredowa nie wybierają się do kąpiel.

Rzeczywiście, hrabiego zajął „polny fiołek“ (jak nazywał Zosię).

Człowieka znudzonego życiem światowem poczęła bawić sielanka. Skromność Zosi i jej niechęć do niego poczęły narkotycznie drażnić nie serce, lecz nerwy hrabiego, i postanowił się oświadczyć.

Pani Konstancja przyjęła chętnie oświadczenie.

— Ale panna Zofja mi nie sprzyja — wtrącił uwagę hrabia.

— Zdaje się panu — rzekła z uśmiechem pani Konstancja, — nieśmiałość nie jest obojętnością! Serduszko Zosi nikim nie zajęte. Za tydzień proszę do nas, a sądzę, że pan będziesz zadowolony z odpowiedzi Zosi.

Po odjeździe hrabiego wróciła Zosia ze spaceru. Dzień był gorący, upalny — Zosia w słomianym, dużym kapeluszu przechodziła przez salon do swego pokoiku.

— Gdzie ojciec? — spytała pani Konstancja.

— Został w altance, w ogrodzie.

— Zostań chwilkę przy mnie.

Zosia usiadła zmęczona, ocierając pot z czoła.

— Mogłabyś zaprzestać tych spacerów, — rzekła niechętnie matka — opaliłaś się jak cyganka.

— A mnie, mamo, cyganki bardzo się podobają...

Pani Konstancja spojrzała poważnie na córkę — Zosię odstąpiła odwaga i chęć rozmowy, zamilkła.

— Ja nie chcę, żebyś jak chłopka latała po wsi. Czas już zostać poważną panną, masz lat siedemnaście, niedługo będziesz musiała iść zamąż.

— Ja?

— Proszę nie udawać zadziwienia. Myślę, że hrabia L. aż nadto dał ci poznać swoje chęci. Już oświadczył się nam o twoją rękę.

Zosi nagle zimno, lodowato się zrobiło, choć dzień był gorący. Słowa matki tem silniej uderzyły w dziewczęce piersi, że nie miała siły sprzeciwić się im. Ona tak nauczyła się bać słów matki. Przecież trwoga o los swój dała jej odrobinę odwagi.

— Alez mamo... ja... hrabiego... nie kocham...

— Obejdzie się bez tego. Tylko w romansach kochają się, a tobie romanse powinny już wyjść z głowy. To nieprzyzwoicie, to nie przystoi dla panienki dobrze wychowanej. Hrabia to człowiek w dobrym to-

nie, wykształcony, bogaty, ze starożytnej familji. Powinnaś dziękować Bogu za taki los.

Dziewczę rozpłakało się rzewnie nad tą świetnością losu. Matkę drażniło rozczulenie córki. Ona go pojąć nie mogła. Nie przypuszczając do małżeńskiej rachuby praw serca, pojmowała szczęście kobiety ze strony zewnętrznej, błyszczącej. Pani Konstancja patrzała tak na świat od panieńskich lat. Młodzieńcze jej marzenia były bardzo trzeźwe, bardzo rozumne. Wśród ruiny majątkowej swych rodziców, ona budowała na swej piękności przyszłość złotą. Zamiast tęczowych obrazów, w jej głowie uwijały się pojazdy, salony, bogate stroje, przepych. Zamęście jej ziściło ledwie odrobinę tych marzeń, chciała więc ich spełnienia szukać w szczęściu córki, a oświadczenie pana hrabiego stawiało ją u wrót tego raju i nie mogła pojąć płaczu córki. Zosia inaczej patrzała na świat i dlatego płakała.

— W przyszłą niedzielę hrabia przyjeżdża z formalnem oświadczeniem — spodziewam się, że będziesz rozsądną. — To mówiąc odeszła.

Dziewczę zanosiło się od płaczu. Słowa matki przecięły nagle tyle marzeń jasnych,

tyle niedośpiewanych piosenek młodej duszy. Od tej chwili czuła się nieswobodną, ścieśnioną, i dzień i kwiaty nie wydawały się jej tak piękne, jak dawniej. Zerwała się i poleciała do ojca do ogrodu. Miała otuchę, nadzieję, że on ją z ciężkiej matni wywikła. Ojciec był nie sam w altanie. Rozmawiał z ekonomem. Dziewczę czekało niecierpliwie, skubiąc w zamyśleniu rozkwitającą różę. Po odejściu ekonoma, ojciec dojrzał Zosię.

— Cóż Zosieczko tak się zapatrzyłaś w zachód — oczka rozbolą od tego.

Zosia pobiegła ku ojcu.

— Cóż to, zapłakana?

— Ojcaszku, czy to prawda, że ja mam iść za hrabiego?

— Czy ci matka już mówiła?

— Jakto i ty wiesz o tem?

Pan Alfred pogłaskał włosy Zosi.

— Wiem, wiem... czy ci się nie podoba hrabia?

— Ależ ja go nie kocham.

— A kogóż kochasz?

— Ja?... — i poczęło dziewczę myśleć, i w tej chwili stanowczego zapytania nie mogła sobie zdać sprawy z pogmatwanych

uczuć serca. W dziewczęcej duszyczce, gdy się budzić poczyna, jest wielki chaos uczuć kiełkujących, które rozróżnić jej trudno.

— Ja nie wiem sama ojcaszku... — odrzekła wreszcie i siadła, myśleniem zmęczona, na ławeczce. — Ale hrabiego nie chcę... i ty nie pozwolisz, prawda?

Twarz pana Alfreda spoważniała, sposępniała.

— A gdybym ci powiedział Zosieczko, że ja życzę sobie tego małżeństwa?

Zosia wielkiemi oczami spojrzała na ojca; ostatnia jej nadzieja pękła w duszy i... bezsilne tą śmiercią nadziei... dziewczę siadło znowu, i pochyliło w dół główkę i oczy.

— Moje dziecko — mówił pan Alfred, możesz się nazwać szczęśliwą, że pierwej zasmakujesz w obowiązkach życia, nim się twe serce przebudzi miłością samolubną. Bo serce i wyobraźnia często kłamią nam szczęście, którego niema, a spełnianie obowiązków daje nam szczęście i spokój. Hrabia jest bogaty, będziesz więc miała szersze pole obowiązków i większą możebność ich spełniania.

Zosia słuchała mądrych słów ojca, jak więzień wyroku. Czuła ich wielkość i prawdę, a przecież młode serduszko potrzebowało czegoś więcej, czegoś innego.

Wśród dumnych planów matki i bezgranicznego poświęcenia się ojca dla ludzkości, tłukło się napróżno biedne serce dziewczęcia, i we dwa miesiące potem Zosia została hrabiną L.

Tłumno było w kościele na ślubie. Panna młoda była blada, drżąca, oczy miała zapłakane. Hrabia pewny siebie, zadowolony, ze zwykłym sardonicznym uśmiechem na ustach.

Po ślubie państwo młodzi wsiedli do powozu. Hrabia trochę z drwinkami mówił o nieprzyzwoitości jej płaczu, o kolorycie twarzy wcale nieślubnym. Zosia milczała i zamyślona patrzyła przez okno karety w pole. Nagle silnym rumieńcem rozogniły się blade lica. Na lichym, chłopskim wozie przejeżdżał w tej chwili doktór, zapewne z pomocą choremu. W krótkiej chwili mijania się pojazdu Zosia uchwyciła wyraz jego twarzy. I on był dziwnie blady, bolesny, ale spokojny — i on, spotkawszy ją oczami, zadrżał. Pani hrabinie przypomniał się po-

koik Adasia, słowa doktora, jego wzrok głęboki, piękny, i pomyślała sobie: Boże, czemuż nie ten człowiek jest moim mężem! — Przelękła się tych słów, co teraz grzechem były, i odpędzała natrętne myśli od siebie.

Minęło kilka lat pożycia małżeńskiego hrabstwa L.

Młoda Zosia zmieniła się w poważną kobietę, usta boleśnie się zakroiły, główka bardziej się pochyliła od smutku; ale przytem w ruchach, słowach, spojrzeniu była ta pewność i siła, jaką daje walka z życiem. Nie dziw, że Zosia tak prędko zapomniała młodych latek w surowych obowiązkach żony. Mąż jej niedługo po ślubie zasłabł ciężko. Była to jedna z tych słabości, co... poczynając się wśród rozpustnych biesiad młodego wieku, kradnie z każdą chwilą życie i powoli ciągnie do trumny. Hrabia w tej słabości stał się nieznośnym, cierpkim, pasjonatem, dokuczliwym, gryzącym. Sam pozbawiony przyjemności życia, chciał je zatruć wszystkim. Pomyślmy więc sobie cały szereg przykrości i cierpień, jakie dręczyły kobietę młodą, spragnioną życia, kobietę, która nie mogła sobie nawet powiedzieć, że go kocha. Dręczona zjadliwą za-

zdrością jego, musiała zerwać z całą okolicą, i ciemny pokój hrabiego stał się jej jedynem mieszkaniem, gdzie więdła, ginęła. A smutno jej było pomyśleć, że ten los zgotowała jej wola matki, i całe złamane życie jej stanęło jak cierpki wyrzut pomiędzy nią i matką; nie mogła kochać tej kobiety, w której nigdy odrobiny serca nie widziała.

W takim była stanie, kiedy jej dano znać, że matka zachorowała niebezpiecznie. Zosia porzuciła jedno łoże, by usiąść przy drugiem. Ale nie miłość córki, jeno obowiązek gnał ją do dworu rodziców.

Biedna Zosia kłamała przed sobą, że nie tak jest, a jednak tak było.

Idźmy wraz z nią do dworu pani Konstancji. Dwór ten, na początku naszej powieści stał oświecony rzęsisto i czekał balowych gości; dziś po smutnych, pustych pokojach chodziła służba na palcach, i pani Konstancja, którąśmy wtedy widzieli w zenicie piękności, dziś dogorywa trawiona rakiem. Choroba i kilka lat życia dziwnie zmieniły piękne rysy kobiety; ale bardziej zmieniła się dusza.

Kobieta światowa, salonowa, przyzwyczajona do wizyt, komplementów, pustych

rozmów — w wiejskiem osamotnieniu uczuła wielkie nudy.

Adasia oddał pan Alfred do szkół, córki nie było, mąż mało w domu siedział. Pani Konstancja chciała wśród zabaw miasta rozpędzić chmurki swoje, zapełnić pustkę duszy. I wyjechała. Ale w mieście dawnych znajomych nie zastała. Nowe znajomości szły z oporem. Niezadowolona wyjechała zagranicę, przypomniawszy sobie, że w pierwszych latach małżeństwa swego podróż podobna bardzo ją bawiła. I tu się zawiodła. Dawniej była piękną i młodą: wielbiciele i mąż, największy jej wielbiciel, czytali w oczach jej rozkazy i wszystko się uśmiechało. Dziś sama, z wybladłemi wdziękami, napróżno chciała odświeżyć w duszy dawne chwile i odżyć niemi. Bardziej znudzona i już chora wróciła do domu. Kiedy się zbliżała do wioski, czuła jakieś nieopisane, błogie uczucie, trochę tęskne a miłe. Zapach lip, wierzby po łąkach, ogrody, łąki, wszystko to wydawało jej się piękne jak nigdy, i poczęła żałować tych chwil, które gdzie indziej spędziła.

— O, tu mi będzie lepiej — mówiła, i było jej lepiej dni kilka; ale wnet wzma-

gająca się choroba uwięziła ją w łóżku. Wśród dotkliwych cierpień poczęła się modlić, długie chwile samotności zmuszały ją czytać dzieje własnej duszy, i zrobiło jej się żal zmarnowanego życia. Serce poczęło się budzić ze swemi prawami, bo serce w każdym zadzwonić musi choć raz jeden; ale źle ludziom, u których za późno dzwoni.

Pani Konstancja w bolesnych chwilach rozmyślań przeszła historję swego małżeńskiego pożycia i nie mogła sobie powiedzieć, że była dobrą żoną. Właśnie myślała nad tem, gdy do pokoju wszedł pan Alfred z gazetą w ręku i usiadł przy niej. Widok tego człowieka, któremu zabiła szczęście, na którego gorące serce rzuciła chłód i zmroziła je, poruszył ją teraz. Wzięła go za rękę i słodko powiedziała:

— Ty nie jesteś szczęśliwym, Alfredzie?

— O! owszem, — rzekł pan Alfred i czytał dalej gazetę.

Ta obojętna odpowiedź zamknęła usta dumnej jeszcze kobiecie. Ona nie umiała jeszcze napraszać się ze swą miłością. I była dla męża jak dawniej, ale córka jej się przypomniała. Czuła, że pieszczoty tego dziecka

mogłyby ją pocieszyć, ożywić. Napisała więc do niej. Niespokojna liczyła chwile tego przyjazdu, zdawało jej się, że widok córki ją uzdrowi. Jednego dnia pogorszyła się słabość, posłano znowu po doktora; — pani Konstancja z gorączkową niecierpliwością czekała przybycia córki. Zaturkotało na dziedzińcu.

— To ona! — rzekła chora nasłuchując.

Rzeczywiście, to była Zosia. Weszła do pokoju matki, pocałowała ją w rękę, zapytała o zdrowie i siadła przy niej. Chora ścierpła od tego przywitania. Ona czekała na powitalny krzyk córki, na jej gorący uścisk, a zobaczyła tylko posłuszną córkę, co na wezwanie przychodzi do łóżka matki. Zagryzła wargi i odwróciła się do ściany.

— Chcę spać — rzekła.

Wszyscy odeszli; — chora płakała gorzko narzekając:

— Jacy oni zimni! Kto mi wróci ich dawne serca?

W salonie doktór i hrabina L. czekali przebudzenia chorej. Oboje milczeli. On czytał na jej twarzy historję bolesnego życia, — ona myślała o nim i o matce. Po chwili hrabina przerwała smutne milczenie.

— Czy robisz pan nam jeszcze jaką nadzieję?

— Niestety, pani, żadnej — chora jutra nie doczeka.

Hrabina skrzywiła twarz, i zasłoniła się ręką. Wstyd jej było, że ta bolesna nowina nie powaliła jej z nóg, nie odjęła życia. Wyrzut ją szarpał, że z takim spokojem usłyszała wyrok śmierci swej matki, jakby obcej osoby. Przelękła się samej siebie.

— Boże! — rzekła — ja siebie nie poznaję, zdaje mi się, że mogłabym chodzić teraz wśród konających bez łzy w oku, bez boleści w sercu. Doktorze! to straszna choroba. Ja dawniej nie byłam taką.

Doktór popatrzył ze współczuciem na mękę młodej kobiety i westchnął.

— Doktorze! czemu ja nie mogę kochać mojej matki tak, jakbym powinna, jakbym chciała?

— Czemu? — ludzkie serca łączy nić wzajemnej miłości; kto tę nić zrywa, przy tym wina. Można przywyknąć do obojętności, jak do sybirskiego mrozu.

— O! to okropna jest ta zima serca.

— Chciałaś pani powiedzieć: zima jednego z tysiąca uczuć, bo serce żyje i kocha,

choć wiele uczuć, jak powiędłe kwiaty, spadną mu na dno. Czyż pani nie czuje tej prawdy?

Twarz hrabiny lekko się zarumieniła, odwróciła się ku oknu.

Doktór był wzruszony.

W tej chwili chora zadzwoniła. Hrabina i doktór weszli do jej pokoju.

— Uciekacie ode mnie wszyscy, — mówiła cierpko chora — prosić was trzeba do łóżka chorej. Przynajmniej ty, doktorze, nie powinieneś mnie odstępować, bo ci płacę.

Hrabina drgnęła na tę obelgę, doktór z politowaniem spojrzał na chorą.

— Gdzie twój ojciec? — spytała znowu chora — czyż i w ostatniej chwili zapomni o mnie?

Posłano po pana Alfreda. Przyszedł do łoża i spytał chorej, czego jej potrzeba. Ona uśmiechnęła się gorzko.

— Jakto, wam mam mówić, czego ja chcę — ja chcę, żebyście płakali, żebyście rozpaczali; ale tego nauczyć nie można.

Bezsilna upadła nawznak, i tak długo leżała. Potem się podniosła, spojrzała po twarzach otaczających ją osób. Irytowały ją oczy ludzkie.

— Wam nudno tak siedzieć przy mnie. Idźcie, idźcie, ja chcę tego! Doktór i ksiądz niech zostanie.

Nad ranem pani Konstancja już nie żyła.

— Biedna kobieta — rzekł ksiądz — wiele cierpiała.

— Bo za późno ten posąg poczuł się kobietą i serce pierwej zabiło miłość innych, nim się samo ocknęło. Biedna!

Pani hrabina całe pół dnia klęczała u trumny matki.

Po południu wyjeżdżał doktór.

— Pan odjeżdżasz?

— Gdzie trumna, tam ksiądz potrzebny, nie doktór.

— A jeżeli są chore serca, co potrzebują rady nie lekarskiej, ale przyjacielskiej?

— Chore serca tylko czas, sumiennie spędzony, i modlitwa ukoi.

— Dziękuję, bardzo dziękuję za radę, doktorze, takie dusze, jak twoja, umieją dawać siłę tym, co upadają.

I podała mu rękę. Doktór wzruszony ucałował tę rękę, oboje drżeli.

— Jedź do swoich obowiązków, a ja pójdę spełniać moje.